



XXIX
Ogólnopolski Konkurs Literacki
POEZJA I PROZA
2023

O LITERACKI LAUR ARBUZA

XXIX Ogólnopolski Konkurs Literacki

II Liceum Ogólnokształcące
im. Stefana Żeromskiego
w Tomaszowie Maz.

Tomaszów Mazowiecki 2023

Projekt okładki: **Jolanta Karwasik** – nauczyciel II LO
Projekt logo: **Sławomir Wójcik** – absolwent II LO
Opracowanie tekstów: **Adrianna Jachimowska** – nauczyciel II LO
Skład, łamanie tekstu i druk: **AB DRUK**

Publikacja zawiera wszystkie nagrodzone i wyróżnione prace
XXIX Ogólnopolskiego Konkursu „O Literacki Laur Arbuza”

© Copyright by *II Liceum Ogólnokształcące*
Tomaszów Mazowiecki 2023. Wydanie pierwsze

Patronem medialnym od początku istnienia konkursu jest Redakcja Tomaszowskiego Informatora Tygodniowego. Nagrodzone teksty drukowane są w świątecznym numerze gazety.

Tegoroczna edycja konkursu odbywa się pod patronatem: UNESCO, Starosty Powiatu Tomaszowskiego, Prezydenta Miasta Tomaszowa Mazowieckiego, kina „Helios”, którzy ufundowali nagrody. Również Rada Rodziców przy II Liceum Ogólnokształcącym w Tomaszowie Mazowieckim zadbała o nagrody.

Honorowy patronat nad konkursem objął Łódzki Kurator Oświaty.

Na konkurs wpłynęło 76 prac, w tym 54 w kategorii poezji i 22 pisane prozą. Uczestnicy to głównie uczniowie szkół ponadpodstawowych, ale też uczniowie szkół podstawowych.

Nadesłano prace m.in. z: Gębic, Gorzowa Wielkopolskiego, Inowrocławia, Jasłowa, Katowic, Kętrzyna, Kruszwicy, Lublina, Łowicza, Mikołowa, Opoczna, Opola, Piotrkowa Trybunalskiego, Poznania, Przemyśla, Raciborza, Tarnowskich Gór, Tomaszowa Mazowieckiego, Torunia, Tucholi, Warszawy, Zabrze, Żor.

Komisja konkursowa obradowała w składzie:

- Ewa Adamska – bibliotekoznawca, wieloletnia dyrektor Miejskiej Biblioteki Publicznej w Tomaszowie Mazowieckim;
- Sławomira Mrozowicz – teatrolog, dyrektor Gminnego Ośrodka Kultury w Kleszczowie;
- Urszula Stefaniak – nauczyciel polonista;
- Adrianna Jachimowska – nauczyciel polonista;
- Krzysztof Kleszcz – poeta, autor książek poetyckich: „E”, „Przecieki z góry”, „Pański płaszcz”, nagrodzony w konkursie Poemat Czterech Kultur (2017), wyróżniony w konkursie Złoty Środek Poezji za debiut poetycki (2009).

Komisja po przeczytaniu prac, bardzo żywej i długiej dyskusji przyznała następujące nagrody i wyróżnienia:

W kategorii: poezja:

- I miejsce – godło Celestyna Ewa – Maja Osińska, II Liceum Ogólnokształcące im. Stefana Żeromskiego w Tomaszowie Mazowieckim;
- II miejsce – godło MRS.BLAKE – Oliwia Zamożniewicz, Zespół Szkół Ponadpodstawowych nr 2 im. Stanisława Staszica w Tomaszowie Mazowieckim;
- III miejsce – godło Selkie – Sara Zychowicz, I Liceum Ogólnokształcące im. Karola Miarki w Żorach;
 - wyróżnienie:
- godło Calliope – Oliwia Kotowicz, III Liceum Ogólnokształcące im. Adama Mickiewicza w Katowicach;

W kategorii: proza:

- I miejsce – godło Immersja – Małgorzata Karda; I Liceum Ogólnokształcące im. Józefa Chełmońskiego w Łowiczu;
- II miejsce – godło Scarlet – Karolina Małyszek, II Liceum Ogólnokształcące im. Stefana Żeromskiego w Tomaszowie Mazowieckim;
- III miejsce – godło Janina Kowalska – Kalina Ogórek, Szkoła Podstawowa nr 1 im. Aleksandra Kamińskiego w Tomaszowie Mazowieckim,
 - wyróżnienia:
- godło Katarzyna Anna – Katarzyna Dąbek; III Liceum Ogólnokształcące im. Adama Mickiewicza w Katowicach;
- godło Trend Setter – Nadia Bartmańska, Zespół Szkół Ponadpodstawowych nr 2 im. Stanisława Staszica w Tomaszowie Mazowieckim.

Wszystkim autorom prac
serdecznie dziękujemy

Poezja



**Maja Osińska
(godło: Celestyna Ewa)
II Liceum Ogólnokształcące
im. Stefana Żeromskiego
w Tomaszowie Mazowieckim**

Artyści na ziemię!

Państwo chyba pomylili ulicę ze sceną
Czy Państwo przyszli żyć, czy Państwo przyszli
...grać?
Z całym szacunkiem
Proszę przestać szczyrzyć gęby
Niechże Państwo się już nie okłamują
I z łaski swojej niech Panowie i Panie
Raczą wypruć swoje skażone bohemą żyły
Zapraszamy do rutyny
Do zgorzkniałości
Do nienawiści i ślepoty
Zapraszamy do zaplutego i szarego życia
Zapraszamy
Do życia prawdziwego

Szlafrok

W kurtce kasztany
W futrze złotówki
W torebce obietnice
W swetrach kłamstwa
W kieszeni szlafroka
Jest dziura do piekła

A niech mnie otuli znajome ciepło
Niech się rozstąpią wszystkie szwy przede mną
Nie mówcie już o niesprawiedliwości
Z premedytacją jej nie zaszyłam

Szkielet błędów ludzkich

To koniec, jak miło
Patrzy na mnie jakby formował w myślach
Listę zakupów
Rozpuszczalnik
Obcęgi
Benzyna
Podpałka
Młotek ciężko wyslizguje się z mojej dłoni
Ocieram pot, ocieram krew

Jak dobrze, że już po wszystkim
Marszczy nos
Nie zgadza się ze mną
Nie rozumiem dlaczego
Zrobiłam przecież absolutnie wszystko
Co można zrobić z człowieczym życiem
Odebrałam je

Odzywa się cicho
Odzywa się po raz pierwszy
Odkąd dowiedział się
Kim jestem
– Po wszystkim
będzie dopiero
gdy ziemia
pochłonie i przemieli
każdy gram
Twojej porażki

– Tato, kości się nie rozkładają

II miejsce (poezja)



Oliwia Zamożniewicz
(godło: MRS.BLAKE)
Zespół Szkół Ponadpodstawowych nr 2
im. Stanisława Staszica
w Tomaszowie Mazowieckim

Bursztynowe zwierciadło

Porzuć przesycone jadem myśli
Wyrazy odrzucenia obrazu w lustrze
Głębsze bursztynowe zwierciadło wymaga odkurzenia
I spojrzenia przez zaszkłone oczy
Przeciwną ich stroną

Dowód stworzenia na wzór Stwórcy
Nie ma prawa zostać zburzony
Przekazane bursztynowe zwierciadło
Oczyść wewnętrznym strumieniem miłości
Do samego siebie

Bylejakość na zewnątrz panuje
Wszechobecna w atmosferze
Kurząca bursztynowe zwierciadło
Nieskończonego piękna i życia
Korzeni antidotum na jad nienawiści

Wzmacniaj bursztynowy blask
Szlifuj rysy i ostre zakończenia
Kaleczące bursztynowe zwierciadło
Po odrzuceniu miłości do samego siebie
Zbuduj, zadbaj i zarażaj.

Ring

Lśniące białe rękawice
Nadzieja i resztki sił
Na szyi symboliczny
Ying i yang
W głowie pełno bitew

Twarda i zimna powierzchnia
Piekielnie chłodnego globu
Przeziębionego przez ludzkość
Obleczona sznurami
Granic ludzkiego wnętrza

Pełno potu i krwi
Wstrzymany oddech
Duszącymi rękoma mrocznej podświadomości
Strachu traum załamań ubytków
Wypełniających wnętrze

Wysoka garda
Pozycja obronna
Penetrujący wzrok
Rozbijam ciężkimi ciosami najtrudniejszego przeciwnika
– samą siebie

Ying i yang

Stanowię całość

Bogata świadomość i mroczną podświadomość

Moc nadziei i ubytki w siłach

Mnóstwo duszących bezustannie stworów przyszłości

I jeszcze więcej pokonanych potworów przeszłości.

Stanowię całość

Ogromną miłość do siebie i dużo wyrazów nienawiści

Przetarte szlaki talentów i zarośnięte cierniami zdolności

Zmierzone umiejętności i nieodkryty potencjał

Perspektywę własną i obiekcje innych

Stanowię całość

Wzburzone morze siły i wygasły wulkan gniewu

Kwitnący las deszczowy kreatywności i szare chmury wypalenia

Ogień z nozdrzy smoka strzegącego mojej świątyni i ogon

Odrącający odłamki pękniętego zwierciadła świata

Stanowię całość

Ranę na grzbiecie tygrysa i trofeum między jego kłami

Twardą skałę przykrytą miękkim mchem w krystalicznym potoku

Rosnący kwiat pod warstwą śniegu

Ciche wnętrze japońskiej świątyni na szczycie wietrznego szczytu



Sara Zychowicz
(godło: Selkie)
I Liceum Ogólnokształcące
im. Karola Miarki
w Żorach

Małe konwalie

Daleko od głośnego miasta
Za dużą czerwoną latarnią
leży mała łąka białych konwalii.
Ułożone równo obok siebie
wiszą na cienkich zielonych łodygach.
Tak drobne, że ledwo unoszą krople wody,
które podczas deszczu mocno uderzają
o ich delikatne płatki.
Dzwonią cicho, kiedy łagodny wiosenny wiatr ciepło na nie dmucha.
Zderzają się pomału o siebie w słaby rytmiczny sposób,
a kropelki uciążliwej wody
powoli spływają z jasnych dzwoneczków.
Zawstydzone własną wrażliwością
spoglądają w dół na wygodną trawę.
Nigdy nie spojrzały w oczy błyskotliwej nocy,
a ich malutkie główki zwisają w smutku
z gładkiej łodyżki.
Te same konwalie stoją dumnie przed twoimi nogami,
kłaniając się coraz bliżej trawy
blade i jak mak drobniutkie.
Błyszczące po deszczu,
Tańczące do wiatru,
Bez wstydu patrzące się na pierwsze
lipcowe słońce.

Oto ja, van Gogh

Na środku długiej dynamicznej drogi, stoi płótno
niezmiernie prozaiczne i jednostajne.
Otulone ciepłem migoczących światłał
przejeżdżających pojazdów.
W ręce trzymam mały pędzel
nasączony barwami palety życia.

Oto ja, van Gogh,
Krople chłodnego deszczu malują rysy
mojej ponurej twarzy.
Słony smak jedzonych pestek słonecznika
szkicuje małe gwiazdy napelnione skrytymi marzeniami.
Koło głowy czuję wędrujący zapach
słodkich kwitnących irysów, który
fioletem rysuje ludzi bliskich mojemu sercu.
Czarne pióra przelatujących kruków
Pozostawiają po sobie rozpaczliwe linie
mrocznych koszmarów.

Oto ja, van Gogh,
Stoję przed rozmazanym obrazem
mojej marnej rzeczywistości.
Zmywająca się farba kapie i zanika
W płytkiej monotonnej kałuży,
Która pod gwałtownym naciskiem opon
Pryska na przechodzących ludzi.

Ostatni dzień zwykłej jesieni

Spoglądam na powolnie płynący czas zza małego kolorowego okna własnego komfortu.

Podmuchy zimnego wiatru chowają się w stojących przy drodze drzewach, podczas kiedy liście w kolorach smętej jesieni płynnie z nich spadają.

Napełniające smutkiem pochmurne niebo odbija pomarańczowy blask umierających lamp. Które ostatnimi kroplami wysiłku oświetlają melancholijne twarze ludzi.

Na krawężniku siedzą małe nieregularne dynie czekające na kojące ciepło białych świec, a w ich wyciętych oczach słyhać radosny śmiech niewinnych dzieci.

Czuję kojący zapach świeżego cynamonu, który po długim czasie zamienia się w woń imbiru. Ciepłe kolory zamieniają się w szare barwy, a pod światłem lampy pojawia się pierwsza śnieżynka.



wyróżnienie (poezja)

Oliwia Kotowicz
(godło: Calliope)
III Liceum Ogólnokształcące
im. Adama Mickiewicza
w Katowicach

List gończy

I widzi Pani Prokurator
tak to już jest z tymi listami

czasami człowiek myśli
że takiego delikwenta
winno się złapać
ceremonią miłosną

gdyby tak napisać
przykładowo
taki miłosny

druk papier pióro
pióro papier druk
poczta jest podobno
przyjaciółką miłości

mamy priorytet
wysłany opłacony polecony
do rąk własnych adresata

niech sobie Pani wyobrazi
że poczta
wbrew pozorom
taka jest
że sprzyja
tym wszystkim
ślepych na romantyzm

ostatecznie zamiast miłosnego
utworzył się gończy
a na nim widzimy odpowiednio
nazwisko
wizerunek
przestępstwem jest miłość zabroniona

zaczynamy obłądnie wykrzykiwać
ktokolwiek widział
ktokolwiek wie

wszyscy szukają
nikt nie znajduje

cwana bestia ukrywa się lepiej
niż ustawa przewiduje

Proza



**Małgorzata Karda
(godło: Immersja)
I Liceum Ogólnokształcące
im. Józefa Chełmońskiego
w Łowiczu**

Powstanie człowieczeństwa

Warszawa, 1.08.1944 r.

Drogi Boże,

tik-tak, tik-tak, tik-tak. To takie nieznośne. Każdy kolejny tik budzi we mnie coraz więcej złości. Tik-tak, tik-tak, tik-tak.

Zegar wskazuje 19:37. Minęły dwie godziny i trzydzieści siedem minut. Sto pięćdziesiąt siedem minut. Dziewięć tysięcy czterysta dwadzieścia sekund, od kiedy powstaliśmy z kolan. Od kiedy odzyskaliśmy kontrolę nad naszą historią.

Każdego mieszkańca należy zabić, nie wolno brać żadnych jeńców, Warszawa ma być zrównana z ziemią i w ten sposób ma być stworzony zastraszający przykład dla całej Europy.¹

Tik. Tak. Tik-tak. Taki rozkaz wraz z Führerem wydał Heinrich Himmler, jego ogłupiona marionetka. Jeden z pierwszych szaleńców gotowych, by wyrzec się swojego człowieczeństwa w imię budowania wielkiego państwa niemieckiego na ciałach Europy. Te bestie są przekonane, że udało im się odebrać nam wszystko: prawo do szczęścia, prawo do życia i prawo do kochania. Nasze kamienice zmienili w pył wspomnień, a rodziny w krzyże. Odebrali nam ojców, synów i kochanków. Jest jednak jedna rzecz, której nie mogą nam odebrać bez względu na to, jak usilnie by się starali. Nie odbiorą nam prawa, by marzyć. By mieć nadzieję, że Warszawa, a z nią

¹ <https://ipn.gov.pl/pl/aktualnosci/55879,Maciej-Zuczowski-Rzez-Woli.html>

cały kraj, znów będzie wolna. Mama znów będzie czule głaskać moje włosy w miłości, a nie strachu. Tata będzie w domu i ogram go w karty. Staś wróci z wojska i pójdziemy kąpać się w Wiśle, tak jak obiecał we wrześnieu prawie pięć lat temu, gdy po raz ostatni patrzyliśmy sobie w oczy... On, tak jak zawsze, wyszepcze mi nieśmiało w uszko, że jestem dla niego jak zapach kawy o poranku. Tik-tak.

Oni mają rację, co do jednego. Będziemy przykładem dla Starego Kontynentu. Udowodnimy, że nie ma takiej siły, która może ugasić spragnione wolności serca. Warszawa, Paryż Wschodu, dziś odzyskuje swój stłumiony głos. Nikt nie może nas uciszyć bez naszej zgody, a Warszawa stała się najgłośniejszym miastem świata.

Dziś wybuchło *Powstanie Warszawskie*.

Warszawa, 7.08.1944 r.

Drogi Boże,

minął tydzień, od kiedy Warszawa odzyskała swój głos. Siedem dni nieustającej walki o coś więcej niż miasto. Ono jest symbolem. Nie ginimy dla budynków i ulic, parków czy karuzel. Walczymy o coś, czego nikt, kogo tu nie ma, nie będzie w stanie pojąć. O coś, co się nam należy i co powinno być oczywiste – o naszą przyszłość w biało-czerwonych barwach. Niestety, po tym świecie stąpają ludzie, którzy uważają się za lepszych od innych. Wierzą, że to przekonanie daje im prawo do wyzbycia się swojego człowieczeństwa i odbierania go tym, których nie postrzegają za czujące istoty. Dla niektórych życie inne niż własne nie ma wartości. Wojna wartościuje ludzkie życia, do czego pokój nigdy by nie dopuścił. Dzisiaj od bladego świtu na Woli hitlerowcy pod dowództwem bestii o człowieczych rysach Reinefartha, kontynuują natarcie. Szturmują okolice ulic Chłodnej i Ogrodowej, mordując niewinnych cywilów. Nie zważają na to, kogo mają przed lufą – dziecko? Kobietę?

Kobietę.

Kobieta zmieniła się na wojnie. Pamiętam, że jako małej *dziewczynce* zakazywano mi wspinać się po drzewach. W końcu *dziewczynce* nie przystoi zachowywać się jak chłopiec. *Dziewczynka* to nie chłopiec, *dziewczyn-*

ka może mniej, bo jest tylko *dziewczynką*. Uciszano mnie, ponieważ jako *dziewczynka* na pewno nie miałam nic ciekawego do powiedzenia. Teraz to się zmieniło. W obliczu wojny kobieta już nie ma tylko i wyłącznie zadawać oka mężczyzny. Jak przykrym i uwłaczającym ludzkości jest to, że społeczeństwo pozwoliło kobiecie na więcej niż bycie dekoracją dopiero w cieniu mordy na światową skalę, nieprawdaż? Ja natomiast chciałabym przeprosić wszystkie kobiety, które kiedykolwiek nazwałam ślicznymi. Jak mi wstyd, że pierwsze, na co zwróciłam uwagę, to coś tak prozaicznego jak wygląd. Jak mogłam nie dostrzec ich nieprzeciętnej inteligencji? Ich lisiego sprytu i niepojętej odwagi? Dlaczego nigdy nie byłam w stanie docenić ilości ciężkiej pracy, którą włożyły w to, by ich kobiecość stała się ich największym atutem, a nie przywarą? Od zawsze słyszymy, że kobiecość równa się słabości. „Biegasz jak dziewczyna”, „bijesz się jak dziewczyna”. Dziewczyna jest obelgą w męskim świecie. Dziewczyna jest obelgą również w żeńskim świecie. Gdzie popełniliśmy błąd? Kiedy pozwoliliśmy sile dojść do głosu? Nie tak nas uczyłeś Panie... Moja kobiecość nie jest słaba, to oni są zbyt delikatni, by ją zrozumieć. To zajmuje lata, by na nowo pojąć potęgę kobiecej wrażliwości w świecie, gdzie twoja płeć definiuje twoją wartość. W świecie, gdzie twoje ciało określa, czy jesteś godna wielkich czynów, czy co najwyżej przyjemnej aparycji. Dlaczego zwracałam uwagę na malinowe usta, a nie na poglądy, które chciały one głosić? Te usta od zawsze chciały krzyknąć, ale były uciszane przez silniejsze ręce. Dlaczego podziwiałam paznokcie o kolorze róż, zamiast dłoni, które chciały kreować nową rzeczywistość? Dlaczego przyglądałam się odcieniowi pończoch, zamiast dostrzec nogi, które biegły pewnie przed siebie, nie zatrzymując się przy żadnej przeszkodzie? Siła mianowała się największą wartością tego świata. Ja się z tym nie zgadzam. Siła stosowana wobec tych, którzy mają jej mniej, nie jest wartościowa. Najcenniejsza jest odwaga. Odwaga, by przeciwstawić się potworowi, który śmie nazywać się mężem, a każdego dnia zadaje ból dłonią, która miała chronić i pieścić. Odwaga, by wyjść na ulicę pełną pogardy, upominać się o swój głos. Odwaga, by robić to samo, co mężczyzna, ale jako kobieta. Odwaga objawia się zawsze, a nie tylko, gdy oponent jest słabszy. Kobiecość jest odwagą. Trzeba być odważną, by być kobietą. Na wojnie w końcu otrzymałyśmy szansę, by dowieść naszej niezłomności i hartu ducha. Od jej pierwszych dni masowo dołączamy

do wojsk, by nieść pomoc żołnierzom i cywilom. Tworzymy punkty sanitarne, otaczamy troską rannych. Nasza wrażliwość jest bronią. Mężczyźni walczą karabinami, a my... – delikatnymi maskotkami. Któż by wpadł na pomysł, by szyć pluszaki-skrutki?² Moja kochana koleżanka Rena od rana do nocy wymachuje igłą i nitką, szyjąc małpeczki, w których chowamy przed Niemcami dokumenty. Słabość czy spryt? Kobiecość.

Warszawa jest odważną kobietą. W końcu nie ma nic niebezpieczniejszego niż kobieta odzyskująca swój stłumiony głos.

Warszawa, 10.08.1944 r.

Drogi Boże,

Warszawa walczy. Warszawa *krwawi*.

Wiśła stała się rzeką krwi i martwych nadziei. Trwa sierpień, miesiąc, w którym ciepłe promienie słońca figlarnie łaskoczą skórę, a beztrudna gra we wszystkich sercach. Jednak nie tutaj, nie w mieście śmierci. Dziś w nocy nad Śródmieściem i Mokotowem zjawiły się samoloty brytyjskie z dostawą amunicji i broni. Walki w tej pierwszej dzielnicy kosztują setki niewinnych żyć. Jednak, jeśli spojrzysz Boże, na ulicę Jasną, dostrzeżesz jeszcze odrobinę spokoju. To warszawski skrawek nieba, gdzie piekło jeszcze się nie rozlało. Mimo to obawiam się, że to tylko kwestia czasu aż mroczny zniwiarz zaprosi wszystkich warszawiaków do tańca. Jeszcze chwila, a Warszawa stanie się cmentarzem wielkiej idei.

Nie znoszę o tym myśleć i nie śmiem Cię pytać o odpowiedź, jednak w mojej głowie coraz częściej do głosu dochodzą wątpliwości. Widzę Polskę w trumnie. Pokonaną, martwą, niespokojną... Wtedy zastanawiam się, co mogą uczynić żałobnicy? Gdy zabrałeś babkę do siebie, mama opowiadała mi o jej życiu jak o najpiękniejszej powieści. Opowiadała historię jedną za drugą, czyniąc ją najwspanialszą postacią literacką wśród żywych. Dzięki temu, mimo że babka zostawiła mnie, gdy śmierć była dla mnie jeszcze conceptem niepojętym, jestem świadoma tego, jak niezwykle i wyjątkową miała duszę. Zgaduję, że o to chodzi w życiu. Naszą rolę, jako żywych,

² <https://www.1944.pl/artykul/kobiety-powstania,5408.html>

jest opowiadać historie. Więc jeśli moja matka – Polska, wyda swoje ostatnie tchnienie, ja, jako jej córka, będę opowiadać jej historię. Opowiem przyszłym pokoleniom o kraju w biało-czerwonej sukni. O tym, że jest takie państwo, które jest domem dla wszystkich swoich dzieci. Domem, który został zburzony na długie 123 lata i gdy wszyscy już myśleli, że nikt w nim nie zamieszka (wszak nie istniał), on z pomocą swoich pociech, odbudował się na nowo, jako zapierająca dech w piersiach willa czerwonych róż i białych stokrotek. Tak, jak Horacy twórczością postawił swój pomnik i zapewnił sobie nieśmiertelność, tak mój dom powstał silniejszy i piękniejszy, zdumiewając całą europejską dzielnicę. Będzie ją zachwycał do końca świata i nawet dłużej. Przysięgam Ci Boże, że jeśli znów zburzą moje miejsce na ziemi, ja je odbuduję. Stanę z moimi siostrami i braćmi ramię w ramię i cegła po cegle będziemy od nowa stawiać fundamenty polskości. Odbudujemy nasz dom miłością i historiami, by nasze dzieci mogły nieść ją dalej.

Bo jeszcze Polska nie zginęła,
Kiedy *My* żyjemy.

Warszawa, 14.08.1944 r.

Drogi Boże,

dziś, kiedy uciekałam Marszałkowską, moje serce zatrzymało się na kilka chwil. Wśród ruin i gruzu dostrzegłam bladą twarz. Była tak spokojna i niewinna... Jak okropnie było mi dostrzec spokój w mieście chaosu. Twarz była martwa, biała jak kartka papieru i zimna jak lód. Strugi zaschniętej, ciemnoczerwonej krwi kontrastowały z jasnością przebiśniegu. Znałam tę twarz i część jej historii. Pamiętam iskry w oczach, piękniejsze od gwiazd i uśmiech szczery dla każdego. Dziś jednak iskielki zgasły, a na miejsce uśmiechu weszła stonowana śmierć. To była moja nauczycielka z Batorego.

W tamtym momencie moje serce zapomniało, jak bić, a świat ucichł. Nie słyszałam już strzałów ani krzyków zrozpaczonych cywilów. Jedyny dźwięk, który był w stanie dotrzeć do moich uszu, to był huk rozkruszonego na miliony kawałków serca. Myślałam Boże, że wojna już nie znajdzie

sposobu, by moje oczy znów zamieniły się w wodospady goryczy. Myślałam się. Znów. Wojna zawsze znajdzie sposób, by udowodnić ci, że może być gorzej, że zawsze znajdzie się ból intensywniejszy od tego, który uznałeś już za nie do zniesienia. Moja nauczycielka była przede wszystkim człowiekiem, który w pełni oddał się swojemu powołaniu. Czy to nie pięknie być nutą w melodii życia? Ona zdecydowanie była swoją, a jej symfonia była moją najukochańszą piosenką. Nauczyciele nie są doceniani. Przez większość uczniów są postrzegani jako bezduszne kreatury, których jedynym celem jest udowodnienie, że nie masz racji i wartości. To jednak nie są nauczyciele, to są ludzie nieszczęśliwi. Z kolei dla innych, wielkich dorosłych, praca nauczyciela nie równa się ważnej roli w społeczeństwie. Jednak bycie nauczycielem to coś więcej. Ten zawód nie wymaga tylko odpowiedniego wykształcenia, przede wszystkim wymaga czystego serca. Nie będziesz dobrym nauczycielem, jeśli nie jesteś dobrym człowiekiem. Nie będziesz godzien tak odpowiedzialnej misji, jeśli twoim sercem rządzi chłód. Wrażliwość nauczyciela dorównuje czułości artysty. Szczerze, obie te ścieżki są tak do siebie podobne. Artysta dostaje płótno i farby, z których musi stworzyć zapierający dech w piersiach obraz. Nauczyciel dostaje pasję i uczniów, z których musi uczynić uczciwych ludzi. Najpiękniejszym, co można dokonać w tym zawodzie, to nie nauczyć, a zainspirować ucznia do nauki.

Nauczyciele zainspirowali setki tysięcy uczniów do kontynuowania swojej edukacji w cieniu zagłady. Niemcy zakazali nam się uczyć języka polskiego, geografii Polski, a resztę przedmiotów ograniczyli do absolutnego minimum. Byli przekonani, że bezwolnie zaakceptujemy warunki, które nam podyktowali. Och, Boże – jak bardzo oni znów się mylili. Nasze polonistki chwyciły w dłonie podręczniki do mowy polskiej, a geografowie rozłożyli mapy. Ruszyło tajne nauczanie. Nasi mentorzy nie koncentrowali się na tym, że ryzykują swoje życia. Najistotniejsze dla nich było to, by polska młodzież zdobyła wykształcenie. Doskonale wiedzieli, że to na naszych barkach będzie spoczywało odbudowanie kraju i nic w tamtym momencie nie było ważniejsze. Edukacja jest kluczem do przyszłości dla wszystkich, a nie wybranych.

Jedyne, co mogłam zrobić w tamtym momencie, to serdecznie uściśnąć jej zimną dłoń. Nie było kwiatów ani bombonierek. Cisza i moja dłoń

muskająca jej lodowatą skórę – to było moje podziękowanie za uczynienie mnie jej dziełem.

Pif!

Paf!

*

Dziś Boże, już nie muszę do Ciebie pisać. Ołowianym chłodem zaprosiłeś mnie do siebie. Choć oboje doskonale wiemy, że nie zginęłam od kuli, a od ludzkiej nienawiści. Wiem, że dla całego świata teraz jestem tylko statystyką. Wiem też jednak, że cały świat moich bliskich przestał się kręcić wraz z ostatnim uderzeniem mojego serca. Jestem świadoma, że jutro dla nich wstanie nowy dzień. Ludzki świat nie zatrzymał się tylko dlatego, że czyjaś rzeczywistość legła w gruzach. Jutro, w blasku sierpniowego słońca, zginą kolejni ludzie. A oni tak jak ja, nie będą chcieli płaczu nad mogiłą. Chcemy, by trumny przemówiły do przyszłych pokoleń. Ta koszmarna wojna kiedyś się skończy, przywódcy podadzą sobie dłonie w uśmiechu pełnym bólu. Starsza pani będzie czekała przed domem na powrót swojego wycieńczonego syna. W kamienicy naprzeciwko młoda dziewczyna będzie wyglądała na swojego ukochanego, by w końcu, po tylu latach, ich usta zatańczyły romantycznego walca. Dzieci będą wyczekiwać swoich odważnych tatusiów, by dać im laurki. Nie wiem, kto sprzedał nasze człowieczeństwo. Widzę za to, kto płaci tego cenę. Zwykli ludzie, którzy nie chcieli chwytać za broń.

W dzieciństwie często dostawaliśmy pytanie: kim chcesz zostać, kiedy dorosisz? Ci ludzie nie odpowiadali, że pragną być żołnierzami zabijającymi ludzi w imię urojonego konfliktu. Zgaduję, że chcieli być lekarzami, by pomagać schorowanym ludziom, bądź strażakami zwalczającymi niebezpieczeństwo żywiołów. Im starsza się stawałam, tym lepiej rozumiałam, że to pytanie jednak nigdy nie dotyczyło zawodu, który pragnęlibyśmy wykonywać. To pytanie zmuszające nas do refleksji nad tym, jakimi ludźmi chcemy być. Chcemy kochać? Czy chcemy nienawidzić? Nienawiść jest wyborem. Wyborem, który podjęła ludzkość. Ukochaliśmy pogodę i wyższość, która zmieniła nasz wspólny świat w popiół. Zakocha-

liśmy się w złu, które zrównało nasze domy z ziemią i zasypało miliony niedokończonych ludzkich historii zimnym piachem. Boże, Ty dałeś nam serce, które jest źródłem całej nienawiści świata – oraz całej jego miłości. To zależy od nas, którą ścieżkę obierzemy. Czy dalej będziemy trwać w nieludzkim bestialstwie, czy otworzymy się na drugiego człowieka? Czy kiedykolwiek będziemy w stanie pojąć, jak cennym darem jest ludzkie życie? Każde, bez wyjątku. Nie ma znaczenia, skąd jesteśmy. Zaslugujemy na szczęśliwe życie. To, skąd pochodzimy, buduje poczucie wewnętrznego ja, ale nie czyni lepszym od innych. Ludzkość musi odnaleźć swoje tożsamości w różnorodności. Jestem Polką, mój kraj oraz język ukształtował to, jakim jestem człowiekiem. Język nie jest tylko i wyłącznie systemem znaków. Język to twój wyjątkowy na tle narodów sposób odbioru rzeczywistości. Myślę i czuję po polsku. To po polsku doświadczałam miłości, gdy mama całowała mnie w czoło każdego gwieździstego wieczora. To po polsku doświadczyłam bólu i paralizującego strachu, gdy wrześnieowym porankiem, zamiast biec do szkoły, słuchałam komunikatów w radiu. Język polski ukształtował to, kim jestem, ale w żadnym stopniu nie uczynił mnie gorszą lub lepszą od osób, które poznały życie w języku niemieckim, francuskim czy angielskim. Nasza inność ma budować świat, a nie być amunicją w karabinie. Niczego nie pragnę bardziej niż tego, by ludzie wszystkich ras, narodowości i wyznań podali sobie ręce i zbudowali świat na nowych fundamentach. Odrzućmy nieczułość i nienawiść, spójrzmy sobie w oczy, wyszeptajmy rzewliwe „przepraszam” i stwórzmy nowy świat pełen miłości, wsparcia i rozmowy. Stwórzmy miejsce, które już nigdy nie spłonie w trawiących płomieniach wojny. Niechaj ludzie staną się ludźmi. Boże, spraw byśmy byli bardziej ludzcy. Niech nastąpi *powstanie człowieczeństwa*.



Karolina Małysek
(godło: Scarlet)
II Liceum Ogólnokształcące
im. Stefana Żeromskiego
w Tomaszowie Mazowieckim

legislatywa

Ciekawe, czy wiecie jakie to uczucie?

Nie przeraża was cisza?

Potrafiacie trwać w półśnie, lecz nie w dzień, a w nocy? Jeden szelest poranka jest w stanie zbudzić kowen moich siostr, ale was nie porusza nawet wycie syren w ciemnych uliczkach?

Podnoszę się, przeczesuję dłonią włosy i mam ochotę oskalpować sobie głowę. Czy jest gorsza tortura dla kobiety niż istnienie? We dnie takie jak te wyobrażam sobie, że kołtun nie czyha na mojej szyi, zaskoczenie nie spotyka mnie w lustrze po deszczu, a tłuszcz nie spływa prosto na twarz, do ramion, żył.

Tak naprawdę nie chcę się podnieść, chociaż pół życia wyobrażam sobie, jak wspaniale będę istnieć, gdy wreszcie wstanę.

Marznę przed lustrem i zastanawiam się, która z moich siostr postanowiła być dziś idealna. Widzę nas wszystkie pod powiekami i jest mi trochę ciepłej.

Pobyt w lustrze zawsze przypomina mi o jednym. Kiedy chcesz być wiedzącą, to musisz liczyć się z tym, że pojawią się mary. Zobacysz, gdzie czają się ciemne masy, a one zaintrygowane podejść bliżej. Nigdy nie dotykając, zawsze strasząc. Później przekonasz się, że one zawsze były z tobą i że to nie ich należy się obawiać.

Prawdziwe masy widzisz na co dzień. Gryzą w oczy i wrzeszczą przez szyby, gdy nie można im odpowiedzieć. Łaszą się jak lisy do wszystkich i do wszystkiego, ale nie do mnie. Łypiąc z plakatów, które wyblakną już za tydzień, obiecują uzdrowienie społeczeństwa.

Nie mogę odpowiedzieć im, nawet gdyby szeptali mi do ucha.

Zimno powoli przez podłogę opuszcza cały dom, ale niektórych domów nie opuści nigdy. W martwym domu Dostojewskiego morale było odwrócone, ale w moim poróżnionym i rozdartym domu powstaje nowe, wcale nie jednolite. I to mnie martwi. Ja i moje siostry nie możemy mieszkać na różnych piętrach. Podchodzę do blatu. Kiedyś czarownice przyrządzały zioła dla wielu okolicznych kobiet. Czasy były piękne, gdy można było zwrócić się do uznanej społecznie kobiety. Coraz trudniej jest znaleźć oazę. Łyzeczka nerwowo bębni w przepaść kubka, robiąc hałas i budząc kota, który drzemał jeszcze na piecyku. To moja wina. Dopijam swój napar i w mojej głowie powoli zaczyna studzić się zapał. W tym świecie najbezpieczniej to być ułożonym i pogodnym. Wiele ludzi mówi mi, że nie moją rolą jest sprawianie problemów. Wiedźmy powtarzają jednak, że mówienie prawdy to nie grzech.

Dziś okazuje się, że prawdziwym grzechem są ramiona i nogi. Uśmiech i chichot. Dla niektórych mówienie prawdy będzie najgorszą krzywdą.

Oni nie chcą prawdy, tamci też nie, bo każdy chce tenorów i falsetów, bo ONI MAJĄ RACJĘ. Dziś każdy medal ma dwie strony – można być zwyciężonym i przegranym jednocześnie, można kłamać, mówiąc prawdę, można reprezentować cnotę i obłudę naraz. Czasem chcą mi wmówić, że mieszkańcy mojej szafy to najwięksi bezwstydnicy.

Ubrania wybieram dzień wcześniej, wieczorem, żeby rano rozpatrzyć apelację, która w nocy sływa do mnie ze świata. Trzęsąc się z chłodu, wpatruję się w przedmioty. Czy te rajstopy są wobec wszystkich „fair”? A mary mówią: czy ty jesteś wobec wszystkich fair?

Czy jest lepszy przykład kręgu życia od rajstop?

Codziennie wsuwam je jak drugą skórę, szczypię się długimi paznokciami w łydki, a one na koniec dnia i tak pękają. Otwierają miliony oczu, dają pretekst do rozmowy. Jeśli cierpię na brak interakcji z ludźmi, to przekłuwam sobie dziurkę w rajstopach. Jeśli chcę sobie przypomnieć, jak bezsensowny jest proces ciągłego próbowania i nieustającej nadziei, to zakładam rajstopy. Czasem zastanawiam się, ile rzeczy świat chce mi przez przekazać. Chyba i tak źle wyglądam w spódnicach.

Chyba źle myślę. Chyba nie powinnam jeszcze się wypowiadać. Chyba muszę więcej zachowywać dla siebie. Ile dla siebie zachowały nasze babki,

które rodzice wydali za mąż? Jaka historia kryje się za każdą służbą, listem, cichą łżą, która padła na pierzynę, jedyny znajomy element, posąg, w nowym zimnym domu? Więcej się uśmiechać, więcej przytakiwać, więcej nie przeszkadzać.

Ile jeszcze jest rzeczy, które powinnam robić i nie robić? Ile lat jeszcze żyć, żeby moje zdanie było ważne? Ile godzin przepracować, ile kilometrów przejechać, ile lodówek wnieść na Łysą Górę?

Jak artysta może nienawidzić swoje własne dzieło? Stworzona z waszych żeber, chcę żyć z wami, ale nie dla was. Wiem, że dla was jestem niczyją córką, ale dla mnie wy jesteście predestynacją, ustawą, wyrokiem. I męczy mnie to, że nie chcecie zrzucić mnie ze stosu i że nie wyciągniecie mnie z wody, ale tak bardzo cieszę się, że ja przynajmniej wiem. Wiem, że to nie tak ma być. Czasem jednak boję się, bo pytam sama siebie: czy ktoś jest w ogóle po naszej stronie?

Kowen musi trzymać się blisko. Nic w tym świecie nie jest zbyt złe lub dobre. Wszystko jest relatywne, oprócz milczenia. Milczenie jest zawsze.

Nie przeraża was cisza?

Zbieram włosy i spinam je kokardą, żeby ukryć mętlik, który siedzi w mojej głowie. Dopijam herbatę i patrzę w okno.

Chłodny poranek zbiera mgłę z zziębniętej trawy. Jabłka brzemienne w pleśń i robactwo gniją pomiędzy kolorowymi liśćmi. Mój wzrok pada na kalendarz. Połowa października... Zaczął się sezon polowań na czarownicę.



III miejsce (proza)

Kalina Ogórek
(godło: Janina Kowalska)
Szkoła Podstawowa nr 1
im. Aleksandra Kamińskiego
w Tomaszowie Mazowieckim

Rozważania nastolatki

Głośny, piskliwy i przerażający dźwięk budzika oznajmił, iż rozpoczyna się kolejny, okropny dzień. W tym samym momencie słychać głos mamy:

– Kalina wstawaj! Myj głowę.

Czasami się zastanawiam, czy to budzik budzi mamę? Czy mama swoim krzykiem uruchamia budzik? A może mama jest kompatybilna z budzikiem i robią to równocześnie? Dobra, nieważne. Istotne jest to, że wybiła 6.30 rano, listopad, na dworze jeszcze ciemno. Nie powinno być takiej godziny na zegarku, przynajmniej nie w listopadzie. Ludzie nie widzą po ciemku, to oznacza, że powinni spać w takich okolicznościach – to takie oczywiste. Ale nie, ja muszę wstać i myć głowę. Tak naprawdę nie chodzi o głowę, tylko o włosy, które się na niej znajdują. Sięgają do pasa i są gęste, i – co najgorsze – strasznie się przetłuszczają. Muszę je myć praktycznie codziennie, suszyć, czesać, masakra! Tyle razy prosiłam mamę, żeby obciąć, ale nie pozwala mi, bo to nie ona musi się z nimi męczyć. Mam 13 lat i nawet o swoich włosach nie mogę decydować, nie mówiąc już o tym, o której wstaję. Cała ta gadka o prawach dziecka, czasem myślę, że to jakaś bujda. Z mamą nie wygram, przynajmniej do osiemnastki, ale ten budzik, on do mojej osiemnastki na pewno nie dotrzyma. Nawet do końca grudnia, nie daję mu szans.

A tak poważnie, dzień zapowiada się strasznie, zresztą jak każdy dzień w siódmej klasie. Osem lekcji, czyli kilka godzin w szkole. Te osiem godzin to jeszcze pół biedy, ale ci koledzy z klasy. Niby są w moim wieku, ale mam wrażenie, że są z czwartej klasy, tylko ciągle myślą o sale lekcyjne i tak łążą za nami od kilku lat. Całe szczęście, że po tych ośmiu godzinach scho-

dzą mi z oczu i mam kilkanaście godzin odpoczynku od tych przerośniętych dzieci. Niestety nie można tego samego powiedzieć o nauczycielach. Nawet za murami szkoły nie pozwalają o sobie zapomnieć. Z moich siedmioletnich obserwacji wynika, że każdy, ale to każdy nauczyciel uważa, że jego przedmiot jest najważniejszy. Są jeszcze gorsi, oni myślą, że ich przedmiot jest jedynym przedmiotem w szkole. Aż dziwne, że zauważają innych nauczycieli. Ciekawe, co o nich myślą? Może to samo, co ja o chłopakach z mojej klasy. Tata mówi, że moje przemyślenia nie są zbyt odkrywcze i może troszeczkę niesprawiedliwe, ale mam podstawy, żeby tak myśleć. Po szkole angielski albo basem, a potem prace domowe, przygotowania do kartkówek, sprawdzianów, klasówek itd. Należy tu zwrócić uwagę, iż doba ma dwadzieścia cztery godziny, dwadzieścia cztery, nie dwieście czterdzieści! Czy ktoś to rozumie. Mam wrażenie, że tylko ja, no i czasami tata. Babcie już nie, ciągle mają pretensję, że nie przychodzę tak często, jak kiedyś, że już muszę iść, a jeszcze nic nie opowiedziałam.

A gdzie czas dla mnie? Na spotkania z koleżankami (kolegów sobie darujemy) czy cokolwiek? Choćby telefon. Xbox tak zakurzony, że strach dotykać, pady do konsoli nawet nie wiem gdzie są. Co to ma być? – Dzieciństwo? To jakiś obóz pracy. I tak non stop, dzień za dniem. I to ma się nigdy nie skończyć. To jest przerażająca myśl. Nie moja. Tak mówią dorośli, że teraz to masz łatwo, prawdziwe życie dopiero się zacznie. Szkoła średnia, matura, praca itd. To ma być jeszcze gorzej? Jakoś mi się nie chce wierzyć. Mama ma włosy, jakie chce (długość i kolor), tata wstaje, kiedy chce i mówi, że ostatni raz słyszał budzik gdzieś pod koniec XX wieku. Babcie to już nic nie muszą. I niby oni wszyscy mają gorzej niż ja? To jakaś hipokryzja, czuję się normalnie oszukiwana. Tylko po co? Nie wiem.

Jak będę mogła decydować o sobie, zorganizuję wszystko zupełnie inaczej. Po pierwsze wywalę budzik. Na historii było, że chłop pańszczyźniany pracował od wschodu do zachodu słońca. A ja? Wstaję przed wschodem słońca i idę spać długo po tym, jak zajdzie. Wniosek nasuwa się sam i jest przerażający, mam gorzej niż chłop pańszczyźniany. No może trochę lepiej jadam, ale krócej śpię. Druga rzecz włosy, dziesięć, góra piętnaście centymetrów. Po co komu peleryna od głowy do kolan. Mam kołdrę, koc, nawet kaloryfer mam w pokoju. I już śpię trzydzieści minut dłużej. Chyba że to mama swoim krzykiem uruchomi budzik, ale miejmy nadzieję, że nie.

Mamusia to oddzielny temat. Spiskuje z nauczycielami, to jest pewne. Zawsze bierze ich stronę, bez względu na okoliczności. No ale ona też jest nauczycielką, wprawdzie w przedszkolu, ale to nauczycielka. Nadają na tych samych falach. To dodatkowo komplikuje moją sytuację w szkole i w domu. Jak można zrobić awanturę, bo dostałam czwórkę, czyli inaczej ocenę dobrą. Ocenę dobrą. To o co chodzi? Wiem o co chodzi – mama jest nauczycielką.

Najgorszy był poniedziałek, dostałam dwa plus z geografii. To chyba moja druga, no może trzecia dwójka w życiu, w dodatku z plusem. Ten plus nie poprawił mojej sytuacji. Sobotę i niedzielę mam z głowy, nauka z mamą. Uwierzcie, nie ma nic gorszego od nauki z mamą. Tylko tata ma wtedy ubaw i mówi do mamy – pani profesor. Gdyby nie było chłopaków, wolałabym spędzić ten weekend w szkole.

Czasami nie widzę sensu tego wszystkiego i naprawdę zastanawiam się, czy tak wygląda życie? Tata twierdzi, że za wcześnie na takie przemyślenia. No i te jego mądrości, zdrowy organizm nie myśli za dużo, zdrowy organizm funkcjonuje. Łatwo mu tak mówić, ma krótkie włosy, nie ma budzika i nie chodzi do szkoły.

Zdarzają się też wspaniałe chwile – przyznaję. Uratowana! No, częściowo uratowana. W sobotę przyjeżdża brat mamy z trójką mojego kuzynostwa. Nie ma mowy o nauce, tak naprawdę to o niczym nie ma mowy. Szarańcza, Armagedon, katastrofa, nie przesadzam, to słowa, które tylko w części oddają to, co będzie się działo przez weekend w naszym domu. Kochany kuzyn i kochane kuzynki. A może kochany wujek? Nieważne – serdecznie zapraszam.

Humor mi się wyraźnie poprawił. Z kalendarzem w rękę policzyłam, że do końca roku będzie jeszcze trochę wolnego. Święta Bożego Narodzenia i zaraz ferie zimowe. No, może da się żyć. To chyba ta wizja sobotnio-niedzielnej nauki z mamą tak na mnie podziałała.

No i najważniejsze. W poniedziałek będę miała kotka, a raczej kotkę. Ma dopiero dwa, a może półtora miesiąca. Już ją widziałam, a po weekendzie zamieszka z nami. Jest cudowna, taka malutka. Nazwałam ją Atena, ale mama mówi, że to słabe i ma być Antena. Może być Antena.

Jestem taka szczęśliwa, życie jest cudowne. Tylko ten budzik...



Katarzyna Dąbek
(godło: Katarzyna Anna)
III Liceum Ogólnokształcące
im. Adama Mickiewicza
w Katowicach

Nowy Jork

Tego ranka widziałem, jak biegnie. Jego wzrok nie umiał skupić się na żadnym punkcie, a myśli kłębiły się w głowie i każda próbowała przekrzyżczyć inną. Skręcił w Fulton Street, gdy już brakowało mu tchu. Z każdym krokiem wzrok się skracał, aż w końcu patrzył jedynie na zegarek, byle tylko zdążyć.

Ominął tłum ludzi i zbiegł w dół po schodach, by dostać się na stację metra. Po weekendzie zawsze widział mnóstwo śmieci na ulicach, puszkiki i gazety leżały wszędzie, a odór unosił się w powietrzu już od samego rana. Na stacji metra kilkoro mężczyzn i kobiet leżących na poszarpanych kartonach w przemoczonych brudnych ubraniach prosiło go o pieniądze, jednak jego pociąg już nadjeżdżał, więc nawet się nie odwrócił.

– Przepraszam bardzo, która godzina? – spytał bezimienny głos.

Nawet nie wiedział, choć była to jedyna rzecz, na której się skupiał. Gdy wszedł do metra, próbował złapać oddech, poprawił marynarkę i zaczął wpatrywać się w telefon pustym spojrzeniem, udając, że w końcu jest poważny, choć dla mnie od zawsze wyglądał śmiesznie. Wysiadł pięć stacji dalej, już na Manhattanie i wychodząc spod ziemi, myślał, jak bardzo się nienawidzi.

Obserwowałem go codziennie, wszędzie gdzie tylko się pojawił, ja stałem tuż za nim, jeden, może dwa kroki dalej, ale on zawsze był zbyt zajęty, żeby mnie zauważyć. Nie chciał patrzeć, nie chciał myśleć, nie chciał zatrzymać się choć na chwilę, by zauważyć kogokolwiek. Smutne, prawda?

Tego samego wieczoru widziałem ich śmiech, słyszałem ich głośne rozmowy, gdy alkohol już zamroczył ich umysły w jednym z barów w Lower East Side. Z daleka można by było przypuszczać, że dobrze się bawią i za-

pewne tak było. Muzyka grała głośno, a oni swoje najpiękniejsze lata mieli dopiero przed sobą, dlatego co wieczór urządzali przyjęcia, pili i żyli, jakby jutra miało nie być. Kiedyś byłem pewny, że ta historia jest właśnie o nich, jednak później zorientowałem się, że w życiu bardziej się nie myliłem.

Chłopak właśnie świętował, przyjechał z małego miasteczka w Meksyku, bo nigdy nie przepadał za drewnianym domem i biedą, którą spotykał każdego dnia. Całe życie szukał wrażeń, historii, którą mógł nazwać swoją, wielu barw i światła, dlatego myślał, że znalazł się w idealnym miejscu – mieście, które nigdy nie zasypia i w którym nie da się niczego przegapić.

– To gdzie idziemy później? Do ciebie czy do mnie? – powiedziała z lamany akcentem Szwedka o złotych włosach i błękitnych oczach, wtulając się w jego ramię. Mówiła po cichu, jednak nie miało to nic wspólnego z szeptem.

Wszyscy siedzieli w ich ulubionym miejscu, gdzie przychodzili prawie każdego wieczoru, przy stoliku, który zawsze wybierali, ale tak naprawdę żaden z nich nawet nie miał pojęcia, co tak naprawdę należy do niego. Nie czuli nawet, że sami są sobą.

Każde z nich przyjechało z innej strony świata, każde z nich nazywało inne miasto „domem”, ale nigdy nie spojrzeli na mnie, na zawsze byli obcy, chociaż też siedziałem w tym barze każdego wieczoru, też z nimi piłem i też się z nimi śmiałem... i być może właśnie dlatego byłem tak niewidzialny w zgiełku ich żyć, bo w końcu tak wiele się działo. Nie chciałem przeszkadzać.

Miałem za to ich, spokojnych mieszkańców Trzeciej Alei na wschodnim Harlemie. Ich mieszkanie było małe, jednak pełne wspomnień, także i tych związanych ze mną. Oni używali wielkich słów – mówili, że mnie kochają, że nie mogą się napatrzeć, jednak ja wiedziałem, że nigdy nawet nie spojrzeli choćby na sekundę.

Ona zawsze chciała mieć dzieci, on też, ale życie ułożyło się inaczej, więc przez całe lata byli sami. Budzili się każdego ranka i zasypiali każdego wieczoru, chodzili na długie spacerunki w Central Parku i na zakupy do pobliskiego sklepu, bo córka właściciela zawsze przypominała jej siostrę, która dawno już odeszła. On zawsze rano kupował gazetę, żeby wiedzieć, co dzieje się wokół nich (przynajmniej z pozoru), a ona, podlewając pelargonie na balkonie, cicho rozmawiała z sąsiadką.

– Dzień dobry! Jak pięknie dziś wyglądasz. Jak ci mija dzień? – mówiły przyjaciółki z dawnych lat, bo nigdy nie przestały być życzliwe.

Dni mijały, tak samo lata, a oni ciągle powtarzali, jak ten czas szybko leci i nigdy nie zapomnieli dodać, że ja w ogóle się nie zmieniłem.

To prawda, wciąż pozostałem taki sam, ciągle witałem się z nimi na ulicy w piękne słoneczne poranki, wciąż przychodziłem na kawę i uczestniczyłem w długich dyskusjach. Znałem każdą ich historię, nauczyłem się każdego zwyczaju i dziwactwa, wiedziałem też zarówno o najmniejszych tajemnicach, jak i największych oczywistościach. Należałem do nich, byłem dla nich niczym dom, który znali od zawsze, a oni dla mnie przyjaciółmi, których powinno nazywać się prawdziwymi... jednak wciąż nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że jestem tylko codziennością, zwykłą rutyną, może nawet obowiązkiem.

„Kocham cię” z ich ust brzmiało tak nieszczerze... jakby mówili to z przymusu lub grzeczności, bo zbyt długo się znamy. Byłem ich powietrzem – niby niezbędny, niby najważniejszy, a jednak przezroczysty, tak bardzo niewidzialny – więc nietrudno było mi przyznać, że dla mnie niczym nie różnili się od innych.

Powiedzielibyście, że narzekam, że powinienem być przywyknąć, że ciągle byłem niezadowolony. Jednak ja nigdy was nie słuchałem, bo zawsze przychodził taki dzień, kiedy zjawiała się ona... a ona była bardziej wyjątkowa niż każdy z was.

Od kiedy pierwszy raz mnie ujrzała, a ja ujrzałem ją, nigdy nie odważyłbym się nawet tak o niej pomyśleć, nigdy nie powiedziałbym, że jest zwyczajna, ponieważ to słowo brzmiało jak największa obelga i ani trochę do niej nie pasowało.

Była młoda i piękna, nigdy nie zastanawiała się, co będzie dalej. Od pierwszego spojrzenia pozwoliła mi się prowadzić, chciała oddać się wyłącznie mnie. Przyjechała tak pełna idei, tak pełna uczuć, których desperacko pragnąłem każdego dnia. Choć była tylko człowiekiem, patrzyła na mnie tak pięknie... Każda niedoskonałość, każdy mankament był dla niej szczyry, a więc dobry. Nigdy o nic nie prosiła ani nie chciała żadnej zmiany.

Prawdą jest to, że widziałem to spojrzenie wiele razy, ale za każdym razem, gdy je dostrzegałem, momentalnie zapominałem o innych, bo dla niej nie byłem zmęczeniem, nie byłem codziennością czy odskocznią od

rzeczywistości. Wiedziałem, że dla niej byłem wszystkim i gdy znów słyszałem ten słodki głos, który powtarzał:

– Jak to pięknie jest być tobą... Zastanawiałeś się kiedyś nad tym?

...nie mogłem zrobić nic więcej tylko słuchać, podziwiając każde jej słowo jak najcenniejszy skarb.

Wtedy dla wielu mogłem być niewidoczny, mogłem być mgłą i wiatrem, którego nigdy nie dostrzegą, bo w jej oczach byłem całym niebem i całym światem. Błyszczałem jak tysiące gwiazd, które widziała każdego dnia w każdym moim odbiciu. Była mi wdzięczna, jednak to ja każdego dnia dziękowałem za najmniejszą zmianę, jaką ze sobą przyniosła, delikatnie, ale i niespodziewanie, jak pierwszy grudniowy śnieg. Dawała mi jedyne rzeczy, które potrafiły mnie zaskoczyć, które sprawiały, że żyję.

Choć byłem w nich wszystkich (w biednych i bogatych, starych i młodych, w tych, którzy patrzyli na mnie z nadzieją i tych, którzy każdego ranka budzili się z rezygnacją, w ludziach, których twarze rozświetlałem zachwytem czy w tych, w których budziłem jedynie odrzę), choć każdego dnia widziałem nowe spojrzenia ludzi z tak wielu miejsc na ziemi, którzy próbowali nazwać mnie domem, to nigdy nie przestałem marzyć o niej, bo wiedziałem, że to ona błyszczy jaśniej niż wszystkie moje światła, które palą się po zmroku.

Dlatego czekałem. Czekałem z każdym dniem, żeby znowu zjawił się ktoś podobny do niej albo nawet ona sama. Czekałem, żeby kolejny raz we mnie to dostrzegła, żeby dostrzegła mnie takim, jakim naprawdę jestem i zawsze byłem.

Tamtego wieczoru przechadzałem się po ulicach, choć tak naprawdę robiłem to zawsze – w chłodne zimowe poranki, ciepłe, letnie popołudnia i deszczowe, jesienne wieczory. Czasami zatrzymywałem się, żeby popatrzeć, innym razem biegłem tak, jak wszyscy inni. Byłem każdym z nich i nikim. Nie miałem ciała ani głosu, mimo że każdy z pozoru mnie dostrzegał. Miliony ludzi, tysiące połączonych ze sobą historii i ja, zawsze gdzieś między wierszami. Byli przekonani, że widzą, mieli pewność, że słyszą, ale nikt tego nie robił.

Aż w końcu, niby przypadkiem, znowu zjawiała się ona... a ona potrafiła patrzeć i słuchać jak nikt dotąd.



Nadia Bartmańska
(godło: Trend Setter)
Zespół Szkół Ponadpodstawowych nr 2
im. Stanisława Staszica
w Tomaszowie Mazowieckim

Kwiat Jabłoni

Dla chłopca, który skradł nocy jej piękno.

Mam do opowiedzenia historię, która poruszyła me serce lodem skute.

Pewnej późnej nocy, kiedy cienie tańczyły za oknami w rytm, który wygrywał im księżyc, diabeł zapukał do mych drzwi. Puste, ciche pukanie docierało zewsząd i znikąd. Kiedy nieświadoma, kto za nimi czeka, uchyliłam drzwi, zobaczyłam najpiękniejszą istotę stąpającą po tym świecie. Wysoki, smukły i lśniący mężczyzna stał tuż za progiem. Oczy jego gwiazdy nocą w kompleksy wpędzać mogą, a jego uśmiech odebrać niejeden rozum. Stał tam sam, przemoczony do suchej nitki, choć ubrania ociekały wodą, burza wydawała się nie robić na nim wrażenia.

– Czy mógłbym prosić o szklankę wody? – zapytał.

A znaczenia tego pytania, choć tak banalnego w swej prostocie, przez chwilę zrozumieć nie mogłam. Popatrzyłam na niego ponownie i odpowiedziałam:

– Ależ oczywiście. Proszę, zapraszam do środka – jednak nieznajomy nawet nie drgnął. Stał i czekał. Więc, spoglądając na niego po raz ostatni, odwróciłam się i poszłam po szklankę wody. Kiedy wróciłam, zniknął, pozostawiając jedynie otwarte drzwi. Wybiegłam z domu w poszukiwaniu mężczyzny, a następnego dnia nabawiłam się kataru. Rozmyślałam o przyszłości przez długie godziny i chwile samotne. Po co przyszedł? Czemu odszedł? Nim te myśli w sen mnie zapędziły, coś podkusiło mnie, aby wystawić przed dom szklankę wody, gdyby tylko przybysz spragniony wrócił.

Kiedy kolejnego ranka wyszłam za dom, szklanka stała pusta, a na szkle lśniły ślady odbitych ust. A więc wrócił. Czemu więc nie wszedł? Czemu obawiał się aż tak bardzo odwiedzin? I tak nocy kolejnych wystawiałam szklankę wody, i tak przez dni kolejne znajdowałam ją pustą z tymi samymi odbiciami warg, których myśli moje nie potrafią zapomnieć.

Kiedy ponownie księżyc tak noc pięknie rozjaśnił, pukanie do moich drzwi wyrwało mnie z zamyślenia. Wnet do nich podbiegłam. Czy to on? Czy powrócił? Te pytania krążyły po mojej głowie jak szalone. Burza już nie szalała, nieznajomy stał samotnie tuż za progiem.

– Czy mógłbym prosić kromkę chleba? – zapytał, a jego głos zatańczył w mojej głowie i rozwiął wszystkie myśli. Bez pytania, bo odpowiedź i tak już znałam, poszłam po chleb, a gdy wróciłam, ku memu zaskoczeniu, stał i czekał.

– Może jednak raczy pan wejść do środka? – zapytałam ponownie. Jednak nieznajomy jedynie wziął ode mnie kromkę i odszedł. Choć odprowadziłam go wzrokiem, zniknął za mgłą, która przybyła znikąd.

Na pustej drodze tuż przy moim domku, zakwitło drzewo jabłoni, jak zawsze o tej porze. Przepiękne kwiaty, które je zdobiły, zawsze przyciągały mą uwagę. Spoglądałam na nie rankiem, gdy do pracy czas mnie poganiał i wieczorem, gdy ciepło domostwa zachęcało do powrotu. Kiedy kolejnego późnego popołudnia znów zostawić chciałam na ganku szklankę wody i kromkę chleba, siedział na progu, jakby na coś czekając. Choć poznałam go od razu i tak bałam się podejść. Więc stałam w bezruchu, przyglądając się uważnie. Każdy skrawek jego ciała był aż nazbyt idealny. W końcu, kiedy odwaga wezbrała w mej głowie, podeszłam krok bliżej i kolejny, i jeszcze jeden krok. Usiadłam tuż obok niego i wręczyłam mu jedzenie. Spojrzał na mnie przerażony i zapytał:

– Czym zasłużyłem na te wszystkie posiłki?

Nie znałam konkretnej odpowiedzi na to nagłe pytanie. Bo ich potrzebował? Bo wyglądał na głodnego? Choć każda odpowiedź zawierała w sobie część prawdy, zamiast odpowiedzieć posłałam mu delikatny uśmiech i rzekłam:

– Bo w twych oczach ujrzałam ten sam smutek, co i w moich mieszka.

Czułam jak jego wzrok przeszzywa moje ciało, niczym kula wystrzelona prosto w me serce.

– Lubiesz się w kwiatach jabłoni, prawda? – odpowiedział szeptem.

– Tak – to jedyne, co zdołałam z siebie wydusić. Wtem mężczyzna podniósł się, wziął kromkę chleba, wypił szklankę wody i odszedł.

Po tym spotkaniu za każdym razem, kiedy ranka blask przywoływał wszystko do życia, znajdowałam zerwaną łądźkę z jednym kwiatem jabłoni. Czekał na mnie co rano przy pustym talerzu i pustej szklance. Choć mogłoby się wydawać to błahe, to jednak ten jeden kwiatek sprawiał, że uśmiech zamieszkiwał już do końca dnia na mej twarzy. Co jakiś czas spotykałam go siedzącego na ganku, samotnie, o bardzo późnych godzinach nocnych. Zawsze wtedy siadałam obok niego i patrzyliśmy na gwiazdy, prowadziliśmy nieme rozmowy, czasem zdarzyło się, że zasypiałam na jego ramieniu, a rano budziłam się na ganku, przykryta ciepłym kocem. Z czasem, kiedy wiosna przemijała, a kwiaty przeradzały się w owoce, przychodził coraz częściej. Spędzaliśmy każdą noc razem i stopniowo do niemych rozmów zakradały się słowa. Coraz więcej o nim wiedziałam i coraz więcej on wiedział o mnie. Zawsze, kiedy na mnie spoglądał, zastanawiałam się, czemu się mnie nie boi, czemu nie brzydzi go ma twarz. Od dziecka, od dnia pożaru żyję sama, każdy, kogo miałam, odszedł, zostawił mnie. Każdy porzucał mnie z powodu tej jednej blizny, która znaczyła połowę mej twarzy. Jednak on wydawał się być niewzruszony, nigdy o nią nie pytał i wydawać się mogło, że nigdy nie zamierzał. Czas mijał, a wraz z nim ciepło, które pozwalało nam po prostu być.

Kiedy nastąpiła zima, a woda w szklance zamarzała i kromka chleba przymarzała do talerza, przestał przychodzić, choć czekałam każdej nocy. Jedyne, co po nim zostało, to suche, idealne do spalenia, pocięte gałązki. Znajdowałam je każdego poranka przed drzwiami, czekały na mnie. Choć wiele razy pytałam go, czemu nie chce wejść do środka, czemu nie chce zjeść ciepłego posiłku, nigdy mi nie odpowiedział. Czas płynął dalej, a ja wyczekiwałam tylko, aż ponownie zakwitnie jabłoni. Pierwszego dnia wiosny czekałam na niego na ganku, czekałam też dnia drugiego i trzeciego. Żadnego z nich i żadnego kolejnego się nie pojawił. Choć szklankę wody, choć kromkę chleba zostawiałam jak wówczas na ganku, rano znajdowałam je nietknięte, bez odbitych ust na szkle. Widziałam jedynie gałązkę z kwiatem jabłoni. Wiosna zaczęła przemijać, wiatr porywał ze sobą ostatnie płatki, pozostawiając jedynie nabrzmiewające słońcem owoce. Cze-

mu nie wrócił? Ostatniej, wiosennej nocy ponownie czekałam na niego na ganku. Z każdą godziną sen coraz bardziej przymykał moje powieki i coraz bardziej rozluźniał moje ciało. Kiedy sen zwyciężył, a ja opadłam z sił, ostatnim spojrzeniem ujrzałam, jak szedł w moim kierunku. Następnego dnia obudziły mnie promienie słońca, siedziałam na ławce przykryta kocem i – ku memu zaskoczeniu – na moim ramieniu leżała jego głowa. Spojrzałam ponownie i poczułam, jak me serce chciało wyskoczyć z piersi. Był taki piękny, taki delikatny. Nim podniosłam się z ławki, coś podkusiło mnie, żeby zostawić na jego czole odcisk mych ust. Nie wiem, o której wstał, jednak zanim wyruszyłam do pracy, pozostawiłam mu szklankę wody i kromkę chleba. Kiedy wieczorem wracałam do domu, czekał na mnie. Ujrzałam go siedzącego na ganku i coś mnie zatrzymało. Stałam pod drzewem jabłoni i patrzyłam. Jego oczy spoczęły na mnie, a na jego twarzy zaistniał smutek. Podeszedł do mnie, stanął przede mną i zapytał:

– Wiesz, kim jestem, prawda?

Pokiwałam głową w milczeniu.

– A więc czemu się nie boisz? Czemu, choć wiesz? – a w jego głosie słyszałam jedynie żal.

Przyłożyłam dłoń do jego twarzy, nie odszedł, nie odsunął się, czekał.

– Dlaczego miałabym się bać kogoś, kto jest tak delikatny? – zapytałam, a w jego oczach zabłysnęła nadzieja. Nim poczułam dotyk jego ust na swoich, wydawać się mogło, że czas zamarł, a na świecie byliśmy tylko my.

– Mógłbym dać ci wszystko, wystarczy poprosić – wyszeptał, a ja jedynie ponownie go pocałowałam.

– Poproś o cokolwiek, błagam – usta w usta, serca w serca, a dusza jakby ta sama.

– A więc zostań ze mną – a te słowa, choć tak proste, wydawały się być niemożliwe. Nie mógł zostać, wiedziałam o tym od początku.

– A zaczekasz na mnie? – zapytał.

– Jeśli obiecuję ci, że pewnego dnia powrócę do ciebie i wówczas już nic nas nie rozłączy, zaczekałabyś na mnie?

Kwiaty jabłoni zakwitwały każdej wiosny i opadały każdego lata, każdej jesieni liście spadały, a zimą drzewo stało nagie. Zliczyć nie potrafię, ile wiosen tak minęło. Czas płynął, lata mijały i pewnej wiosny ktoś znowu zapukał do mych drzwi. Puste, ciche pukanie docierało zewsząd i znikąd.

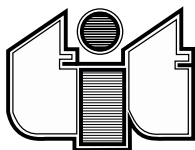
Kiedy nieświadoma, kto za nimi czeka, uchyliłam drzwi, zobaczyłam najpiękniejszą istotę stąpającą po tym świecie. Wysoki, smukły i lśniący mężczyzna stał za progiem. Oczy jego gwiazdy nocą w kompleksy wpędzać mogą, a jego uśmiech odebrać niejednen rozum. Stał tam sam, a w ręku trzymał bukiet kwiatów jabłoni. Wziął mnie za rękę i z każdym krokiem siły do mnie powracały, z każdym krokiem czułam, jakby lata się cofały. Nim dotarliśmy do owego drzewa, znów byłam młoda.

– To już pora – wyszeptał cichym głosem, a z mych oczu łzy same z siebie popłynęły po policzku. Łzy szczęścia. Nim poczułam jego usta na mych ustach, świat na chwilę się zatrzymał, a ja kątem oka zobaczyłam kogoś siedzącego na ławeczce tuż przed domem. Siedział okryty ciepłym kocem, a na nim leżał jeden kwiat jabłoni.

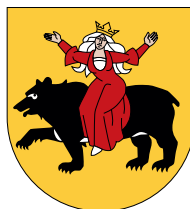
Patronat Honorowy



Patronat Medialny



Patronat



Organizacja Narodów
Zjednoczonych
dla Wychowania,
Nauki i Kultury

Polski
Komitet
do spraw UNESCO

